

Wychodzi co niedzielę jako bezpłatny dodatek do dziennika »Głos Narodu«.

Przedpłata na sam »Głos literacki i społeczny« wynosi rocznie 8 koron, półrocznie 4 korony, kwartalnie 2 korony.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

Nr. 1 Kraków, dnia 6. stycznia. 1901.

NA CZASIE.

(Porachunki tygodniowe).

Właściwie, porachunki nasze winny się rozpocząć od przejrzenia konta pewnego staruszka, który pięć dni temu ułożył się na wieczny sen. W młodzieńczych latach zaciągnął on względem nas i całej ludzkości różne zobowiązania, lecz dotrzymanie ich przelał na swego spadkobiercę, usuwajac się przed okiem oszukanych wierzycieli w bezmiary wieczności...

Biedny bankrut! Obiecywał za młodu bardzo wiele, poto, by niczego nie dotrzymać, powiewał sztandarem wolności, równości i braterstwa a na starość wzniósł proporzec terroryzmu, walki kastowej i nienawiści, zrodził się przy huku armat, zwiastujących nibyto erę wolności, a wieczność przyjęła go na swoje łono również wśród gromu

Europejscy „cywilizatorowie" w Chinach.



Niemcy rabują narzędzia astronomiczne z pekińskiego obserwatoryum.

dział, który wieści tryumf bezczelnej, niecnej siły nad prawem boskiem i ludzkiem. Łudził nas wreszcie nadzieją iż jeszcze za jego życia osiągniemy jedyny i nawyższy cel swych marzeń i, jak się pokazało, zadrwił z nas w fatalny sposób...

Ale przy zamknięciu bilansu masy spadkowej po śp. wieku XIX. nie wychodzimy, mimo to wszystko, bez pewnej skromnej dywidendy. Jest nią świadomość, iż cały wiek niewoli nie zdołał złamać sił narodu polskiego i, pod chłostą losu nabyte przekonanie, że w walce o nasze prawa powinniśmy liczyć tylko na własne siły. Te oba pewniki, to dwa biblijne talenta zostawione nam w spadku przez chytrego, a złośliwego staruszka. Złóżmy je na procent w swoich umysłach i sercach, a może potomkowie nasi, robiąc za sto lat ponowny bilans narodowy, ujrzą się w posiadaniu olbrzymich kapitałów...

Jakimkolwiek los nasz dalej pójdzie torem, wiemy już dzisiaj, że czas niewoli skrócił się o sto lat, a w ślad zatem, największą XIX. wieku zasługą jest to, iż już się zakończył. Oby nikt z Polaków nie potrzebował za lat sto powtarzać tego samego o nowonarodzonym XX. wieku!

Czy wiecie, szanowni czytelnicy, co jest najwspanialszym i najbardziej przekonywującem dowodem olbrzymiego talentu Sienkiewicza? To, że nawet niesłychana, z iście amerykańską forsą prowadzona i wprost oburzająca reklama w niczem mu nie zdołała zaszkodzić.

Powyższe twierdzenie, to nie paradoks. Właściwością każdej akcyi jest to, iż wywołuje reakcyę, więc i ogłuszające wrzaski reklamy muszą echem niezadowolenia odbić się w umysłach ludzi, wyposażonych w jaki taki taki zmysł krytyczny, a co więcej, nahalnością swoją obudzić ducha przeciwieństwa i oporu.

Trudno mieć coś przeciw pochwalnemu rozbiorowi tych dzieł znakomitego powieściopisarza, które rzeczywiście na pochwałę zasługują, lecz każdego chyba musi oburzyć twierdzenie iż poza Sienkiewiczem nie mamy dziś właściwie żadnego wielkiego pisarza, gdyż skupił on w sobie właściwości geniuszu Homera, Mickiewicza, Tassa, Wergilego, nie licząc tuzina *dii minorum gentium*. A przecież takie twierdzenie padło z ust człowieka uchodzącego w pewnych kołach za wyrocznię! Czy wolno zatem poniżać zalety tylu innych pisarzy, jakimi dziś się szczyci nasza literatura, na korzyść jednego, chociażby on był rzeczywiście takim olbrzymem, za jakiego chcą go uważać — karliki? Talenty, obdarzone indywidualnością nie nadają się w ogóle do porównań; poco zatem ciągnąć płytkie bruzdy paraleli tam, gdzie ich wcale nie potrzeba? Czyż talentowi Sienkiewicza ubliży powiedzenie, iż obok niego mamy także innych, o odmiennym rodzaju uzdolnienia, lecz nie mniej dobrych powieściopisarzy? Takie otrębywanie zwycięstwa, choć walki nie było i być nie mogło, jest rzeczą śmieszną i wysoce niestosowną, to też wodzowie naszego ruchu krytycznego pozostawiają ją — ciurom obozowym, reporterom, którzy między »wzmianką« o Kruszelnickiej, a tragiczną historyjką o walce na noże, raczą Sienkiewicza tytułami »Mistrza« (koniecznie wielkie *M*) »arcymistrza« i t. p., ofiarowując mu tron po Mickiewiczu, do czego chyba nawet sam Mickiewicz nie byłby upoważniony. Zamiast informować publiczność bezstronnie o powodzeniu towarzyszącem dziełom Sienkiewicza w ich podróży po świecie podają tylko i jedynie panegiryki, zamieszczane najczęściej wcale nie bezinteresownie, pomijając zuchwałem milczeniem wszystko, co nie jest bezwzględnym hołdem i bałwochwalczym hymnem uwielbienia. Zamiast krytyk zagranicznych, otrzymujemy wzmianki reporterskie, zamiast tego, co piszą Francuzi — dostają się nam elukubracye sfrancuziałych Polaków, najważniejsza zaś rola przypada anegdotkom i »kawałom« obliczonym na łatwowierność i, jak się poniżej okaże, wyzysk szerszej publiczności.

Bo i na co innego mogą polować panowie, ogłaszający po dziennikach rzeczy tak pełne doniosłości, jak że np. Lord Plumpudding z Beefsteak-Castle ochrzcił swego konia »Wołodyjowski« nadawszy poprzednio wyścigowej klaczce imię »Marynia« na cześć wcale zresztą nie bohaterskiej bohaterki »Połanieckich?« Co nam lub Sienkiewiczowi może przyjść z wiadomości, iż jakaś tam histeryczna damulka z Nowego Yorku miała kategorycznie oświadczyć: »nie warto żyć na świecie bo skończyłam« »Quo Vadis«. (!!) Po co wreszcie urządza się ze znakomitym powieściopisarzem t. zw. »piłę« reklamując go na kształt »Quaker Oats« lub Mascagniego, dlaczego poddaje się gruntownej a fachowej ocenie czoło, brodę, oczy, nos, usta, ręce, nogi i w ogóle wszystkie godne uwagi części ciała Sienkiewicza? Czy mu to doda uroku, czy uczyni go większym niż jest w rzeczywistości?

Odpowiedź bardzo łatwa, skoro się tylko weźmie pod uwagę, iż odnośne reklamki ani nie pochodzą od postronnych wielbicieli autora »Quo Vadis«, ani też nie są wypływem czci reporterów dla jego talentu, lecz służą poprostu wydawcom jego dzieł do robienia dobrych interesów.

Firma Gebethnera i Wolffa chętnie opłaci reporterów paru setkami rubli, wiedząc dobrze, iż po niedługim czasie wrócą one tam, skąd wyszły i to z dobrym procentem...

Gdyby nie te wzmianki o koniach, gdyby nie historye o włosach i zębach Sienkiewicza, nie sprzedanoby ani połowy nakładu »Krzyżaków« po 16 (szesnaście!) koron za egzemplarz, tyle bowiem wynosi popularna cena popularnej książki napisanej przez popularnego pisarza! Gdyby nie reporterzy, to pan Wawelberg nie zrobiłby takiego filantropijnego interesu na »taniem« wydaniu Trylogii, i nie schowałby w kieszeń kilkudziesięciu tysięcy rubli, wraz z tytułem dobroczyńcy narodu polskiego. Cała ta nagonka nie ma na celu wyniesienia Sienkiewicza dla jego rzeczywistej wartości, lecz jest połowem złotych rybek w kałużach blagi i humbugu.

Inna rzecz z objawem tej wagi i rozmiarów co niedawno odbyty jubileusz autora »Hani«. Impuls dała tutaj Warszawa, kierowana potrzebą urządzenia wielkiej a poważnej manifestacyi na tle narodowem. Uczczono w Sienkiewiczu odtwórcę »wielkiej i świętej przeszłości« oddano hołd piewcy »krwi ofiarnej« i mówiąc o nim, myślano o Ojczyźnie. Tem się tłómaczą z pozoru zbyt górnie nastrojone peany i olbrzymi zapał, któryby w innych okolicznościach musiał razić przesadą. Nie obeszło się i przy tej sposobności bez pewnych śmiesznostek; dość wspomnieć wysoce humorystyczny pomysł nazwania karty pocztowej »Oblęgorką« »Sienkiewiczówką« a nawet »Kwowadiską« (!!), ale takie emanacye próżniaczych mózgów nie zepsuły powagi chwili. »Kwowadiska« spoczęła już w muzeum curiosów obok »Nagopisów« »Niedyskretek« i »Odsłonek«, a pamięć narodowego święta trwa dalej, krzepiąc dusze, zakute w obrożę rusyfikacyjnej polityki caratu.

Zaledwie jednak przebrzmiały echa jubileuszowe już reklama wystawia swój potworny łeb nad powierzchnię gazeciarskiego oceanu. Oddział szpiegów reporterskiego pułku zdołał wybadać kucharkę, pokojówkę i lokaja, służących u Sienkiewicza i ogłasza wyniki tych konferencyi po różnych pisemkach. Ciekawy czytelnik znajdzie tam cały przebieg dnia w domu znakomitego powieściopisarza. Począwszy od wkładania butów przy wstawaniu, aż do włożenia nocnej koszuli wieczorem, wszystko znalazło miejsce w zapiskach skrzętnej i żądnej grosza braci reporterskiej. Obecnie wie już cała Polska, że Sienkiewicz lubi wędliny, nosi zaprasowane spodnie i nie używa napojów wyskokowych, a powszechna ciekawość koncentruje się obecnie na kwestyi, kiedy autor »Quo Vadis« zwykł dokonywać czynności mycia się, gdyż ten ważny szczegół zachowała sobie »prasa« do — następnej reklamy dla książkowego wydania »Krzyżaków«.

Przed kilku miesiącami redakcya »Kuryera Warszawskiego«, rozesłała do uczonych polskich, literatów i artystów listy, z prośbą o wymienienie dzieła z zakresu polskiej nauki, literatury i sztuki, które w każdej dziedzinie uważają za najlepsze w XIX stuleciu. Do tej prośby dołączyła redakcya kwestyonaryusz, złożony z 14 rubryk, odpowiadających rozmaitym dziedzinom twórczości polskiej. Termin nadsyłania opinij, wyznaczono do końca roku i w numerze noworocznym »Kuryera Warszawskiego«, znajdujemy rezultat tej ankiety którego streszczenie znajdą poniżej nasi czytelnicy. Jest on dość ciekawy, lecz trudno mu przypisywać jakieś poważniejsze znaczenie, gdyż każdy z zaproszonych wydawał sąd o całokształcie polskiej wiedzy literatury i sztuki z ostatnich stu lat, czyli,

---

„PSUBRATY".

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy).

Wyczekał chwilę, zniknął na kwadrans w sąsiednich ulicach, wreszcie zjawił się u hotelowego portyera z zapytaniem, czy księstwo Czarotyńscy przyjechali i z prośbą o doręczenie księżnej pani maleńkiego listu, na który ma być odpowiedź. Spitzbart oświadczył, że na odpowiedź będzie czekał w pobliskiej cukierni.

Niedługo czekał. Nie upłynęło dwadzieścia minut a we drzwiach zjawiła się młoda kobieta, blada, silnie wzburzona i nie spokojnym wzrokiem rzuciła dokoła siebie. W cukierni było pusto. Spitzbart uśmiechnął się, podniósł z miejsca i podszedł do wchodzącej.

— Czy pan przysłałeś do mnie list przed chwilą?

— Nie inaczej, księżno. Właśnie czekałem na odpowiedź. Nie przypuszczałem jednak, że pani sama raczysz się fatygować. Spodziewałem się listu.

— Kto pan jesteś i czego odemnie chcesz?

— Ja jestem od dawnych lat przyjacielem pana Gottlieba Müllera — odpowiedział Spitzbart nie tracąc ironicznego uśmiechu. — Nazwisko to nie jest chyba pani obcem...

— A... więc to on pana do mnie przysyła... Czegóż on może chcieć odemnie? I jak się dowiedział, gdzie jestem i jak się nazywam?

— O, to długa historya! Nie sądzę, aby było właściwe opowiadać ją tu w cukierni przy chłopcach. Odrazu j dnak muszę panią wyprowadzić z błędu: Gottlieb Müller niema nic wspólnego z mojem zwróceniem się do Pani... Gottlieb Müller siedzi w więzieniu już od ośmiu miesięcy...

Księżna Czarotyńska drgnęła. Spojrzała uważnie i głęboko w oczy Spitzbartowi. Spojrzenie to uspokoiło ją widocznie, bo na bladych wargach zjawił się uśmiech ironiczny ale i kokieteryjny zarazem. Usiadła swobodnie na kanapce, kazała sobie podać szklankę herbaty i po dłuższej chwili milczenia rzekła:

— Wie pan zapewne, co Müller w więzieniu zeznał? To co pan wiesz, zapewne jest znanem także policyi, która pana za mną wysłała? Bo wszak się nie mylę, pan masz stosunki z policyą?

Spitzbart skinął głową potakująco. Pierś Janiny wezbrała gwałtownem łkaniem, lewą ręka chwyciła się za serce, ale z jej ust nie wydarł się żaden dźwięk. W oczach malowało się tylko bezbrzeżne przerażenie. Trwało to jednak wszystko krótką chwilę. Spitzbart bowiem pochylił się nad jej uchem i szepnął:

— Ale ja mam ochotę zerwać z nią wszystkie stosunki, naturalnie pod pewnemi warunkami.

Radość oblała piękną twarz płochej kobiety. Wyciągnęła nagłym odruchem rękę ku Spitzbartowi, ale wnet cofnęła ją, a brwi jej ściągnęły się ponuro.

— Jestem w mocy pana. Rozkazuj pan, ja muszę być posłuszną.

— Będzie dość czasu na rozkazy. Pragnąłem na razie tylko przedstawić się pani i prosić o pamięć. Przepraszam że w krótkim liście, który miałem sposobność przed chwilą pani przesłać, musiałem przypomnieć, jakie było jej dawne nazwisko. Bałem się, że jeżeli tego nie uczynię, nie raczysz pani zwrócić na mnie uwagi. Ale teraz przyrzekam zapomnieć o wszystkiem, i widzieć zawsze i wszędzie tylko łaskawą na mnie księżną Czarotyńską, której pragnę być we wszystkiem pomocnym. Na razie dostanę tylko czek na jakie parękroć. Należą mi się te pieniądze nie jako pieniądze za milczenie, ale jako honoraryum za oddaną już pani przysługę...

— Mnie? przysługę? jaką i kiedy? zapytała Czarotyńska.

— Ach, prawda, pani o tem wiedzieć nie możesz. Nawet zapłaciła już pani drobną sumę za tę bagatelę, ale zapłaciłaś ją komu innemu... Po podniesieniu owego miliona z Unionbanku i po ucieczce swojej poleciłaś pani tej głowie do pozłoty, Opowskiemu, aby postarał się o stłumienie całego skandalu. Opowski do mnie się zgłosił, bo nie wiedział, jak się do tego wziąść — i przyznasz, księżno, że rzecz poszła zupełnie gładko. Sprawa pani zainteresowała mnie jednak żywo; zacząłem dochodzić po nitce do kłębka i oto dziś jestem u celu...

— Dlaczego więc nie przeszkodziłeś pan uwięzieniu Müllera? Czyżby to było niemożliwe? Gdzież on został aresztowany? Przecież nie w Niemczech?

— Jeżeli mam prawdę wyznać, do aresztowania Müllera ja sam dopomogłem. To nie był człowiek bezpieczny; on za dużo wiedział. Mógł się nam stać ciężarem. Człowiek taki jak on, do wszystkiego zdolny, mając panią w ręku, wycisnąłby cię prawie jak cytrynę pogróżkami denuncyacyi zdemaskowania. To Prusak, onby z pani zdarł ostatnią koszulę...

— Ja go miałam przecież tak samo w rękach..

— O ileby nie opuszczał granic Niemiec. W Berlinie on jednak bezpieczny i stamtąd omotałby panią swoją pajęczą siecią... Zwabiłem go tedy do Wiednia i kazałem zamknąć. Za kilka tygodni ma być jego proces. W zeznaniach coś tam wspominał o pani, bo naturalnie wypytywano go szczegółowo ze względu na sprawę podniesienia przez was owego miliona. Oszczędzał jednak panią najwidoczniej. Zapewniał przytem, że nie zna treści testamentu Simchy Bukszpana...

— Proces? publiczny proces? zawołała Janina z trwogą. Jesteśmy zgubieni! Skandal przybierze potworne rozmiary! Pan zrobiłeś rzecz straszną! Jak pan mogłeś uczynić takie szaleństwo.

— Ależ uspokój się pani! Adolf Spitzbart jest zbyt doświadczonym detektywem, aby nie rozważył wszystkiego. Proces będzie tajny, żaden dziennik tak jak nie podał wzmianki o aresztowaniu Müllera, tak samo nie wydrukuje ani słowa o jego procesie. Przedmiotem procesu jest tylko sprawa szpiegostwa, kwestya spadku po Bukszpanie już w samem śledztwie była ubocznie traktowana, a przedmiotem rozprawy wcale nie będzie...

(C. d. n.)

że muzykę oceniał także rzeźbiarz, malarstwo matematyk, językoznawstwo kompozytor, architekturę zaś lekarz. Rzecz naturalna iż wobec tego niektóre działy, między innymi architektura, belletrystyka i historya literatury, dały rezultat bardzo może ciekawy, lecz niezbyt przekonywujący...



Ś. p. Bronisław Grabowski.
Znakomity slawista zmarły 21 grudnia 1900.

Nazwiska laureatów grupują się w następujący sposób:

W historyi, palmę zwycięstwa w turnieju o uznanie powszechne, zdobył sobie historyk żyjący, największą liczbę głosów bowiem otrzymało dzieło Tadeusza Korzona »Dzieje Polski za Stanisława Augusta«, na drugiem miejscu stanęła Joachima Lelewela »Polska i rzeczy jej«, na trzeciem Kalinki »Sejm czteroletni«, a na czwartem Szajnochy »Jadwiga i Jagiełło«.

W dziale historyi literatury polskiej najwięcej głosów otrzymał Piotr Chmielowski za dzieło p. t. »Historya literatury polskiej« (!). Potem najwyżej podniesiono znaczenie dziejów piśmiennictwa, opracowanych przez Michała Wiszniewskiego.

W językoznawstwie — jak łatwo można było przewidzieć — największą liczbę głosów otrzymał »Słownik języka polskiego« S. B. Lindego. Po nim wyróżniono znacznemi ilościami głosów prace: Jana Baudouina de Courtenay »O zadaniach językoznawstwa« i inne, Jana Karłowicza »Słoworód ludowy« i »Słownik wyrazów obcego pochodzenia«.

W etnografii przemagającą większość głosów otrzymał podobnie jak w językoznawstwie, właściwy twórca tej dziedziny, Oskar Kolberg, za dzieło »Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce«.

W grupie nauk filozoficznych najwyżej postawiono: Augusta Cieszkowskiego »Ojcze nasz«.

W estetyce najwięcej głosów otrzymało Karola Libelta »Umnictwo piękne«, dzieło które już ma dziś tylko znaczenie historyczne. Potem następują Stanisław Witkiewicz ze »Sztuką i Krytyką«, Józef Kremer z »Listami z Krakowa« i Klaczko z »Wieczorami florenckimi«.

W dziale nauk społecznych wyróżniono, jako dzieło ekonomiczne: Józefa Supińskiego »Szkołę polską gospodarstwa społecznego«, a w naukach prawniczych: Antoniego Zygmunta Helcla »Starodawne prawa polskiego pomniki«. W socyologii wyróżniono w równej mierze Ludwika Gumplowicza »System socyologii« i Józefa Potockiego wydane niedawno we Lwowie dzieło »Współzawodnictwo i współdziałanie«.

W matematyce największą ilość głosów otrzymało dzieło Władysława Folkierskiego: »Rachunek różniczkowy i całkowy«.

W astronomii najwięcej głosów otrzymał Śniadecki za swoją »Geografię czyli opisanie matematyczne i fizyczne ziemi«.

W grupie nauk przyrodniczych Jędrzeja Śniadeckiego »Teorya jestestw organicznych« zyskała największą ilość głosów. Oprócz tego wyszczególniono w pojedynczych działach: Zygmunta Wróblewskiego za odkrycia w dziedzinie skraplania gazów, Antoniego Wagę za dzieła z zakresu zoologii i Izydora Kopernickiego za »Charakterystykę fizyczną ludności galicyjskiej«.

W medycynie przyznano stanowczo pierwszeństwo Tytusowi Chałubińskiemu, specyalnie za dzieło »Metoda wynajdywania wskazań lekarskich oraz plan leczenia i jego wykonanie.

W poezyi największe uznanie zdobył sobie Adam Mickiewicz swoim »Panem Tadeuszem«, przyczem każdy z sądzących robił swoje uwagi, dla jakich cech uważa Pana Tadeusza za największe dzieło poezyi polskiej. Opinia ta nie ma jednak wyłączności; i Pan Tadeusz miał rywala w »Dziadach«, a Mickiewicz w Słowackim i Krasińskim, których »Króla ducha« i »Irydyona« wielu za najpiękniejsze wyrazy poezyi polskiej. W każdym razie jednak, odpowiednio do stosunku głosów, przewaga była po stronie Pana Tadeusza stanowczą.

W dramacie otrzymał największą liczbę głosów »Mazepa« Juliusza Słowackiego. Po za nim pewną ilość głosów otrzymali jeszcze Krasiński, Mickiewicz, Korzeniowski, Świętochowski, Wyspiański, Przybyszewski i Sowiński.

W komedyi pierwszeństwo przypadło w udziale Fredrze (ojcu) za »Zemstę za mur graniczny«, potem najwięcej mieli Bliziński, Narzymski, Małecki i Kraszewski.

W beletrystyce przyznano pierwszeństwo »Trylogii» Sienkiewicza, podczas gdy Prus otrzymał niestosunkowo małą ilość głosów. Widać, że kwiat inteligencyi naszej chętniej rozczytuje się w romansach, niż w dziełach o szerszym polocie, i głębszem znaczeniu...

W muzyce podzieliły się głosy pomiędzy Chopena i Moniuszkę, przyczem jako dzieło muzyki instrumentalnej otrzymał pierwszeństwo »Marsz żałobny Chopena a muzyki wokalno-sceniczne »Halka« Moniuszki. Jako curiosum należy podać parę głosów, które dostały się... Paderewskiemu!

W malarstwie zdobył największą liczbę głosów Matejko swojem »Kazaniem Skargi«.

W rzeźbie na pierwszem miejscu stanął »Gladjator« Piusa Welońskiego, po nim trochę mniej już mieli głosów Kurzawa, Sosnowski, Godebski i inni.

W architekturze uznano za dzieło najlepsze Kościół św. Floryana na Pradze, wzniesiony przez budowniczego Józefa Dziekońskiego. Potem najwięcej otrzymał budowniczy Pryliński za odnowienie Sukiennic w Krakowie.

Jak widać z powyższego zestawienia, przeważny głos w tej ankiecie miała Warszawa, miasto niewątpliwie bardzo szanowne, lecz nie mogące uchodzić za polskie Ateny... W ślad zatem potem poszło, iż wynik głosowania musi się w bardzo wielu punktach spotkać co najmniej ze zdziwieniem, jeśli już nie z otwartą opozycyą...

Pertinax.

Kazimierz Tetmajer.

„POŻAR RZYMU."

Do obrazu żywego

na przedstawieniu podczas jubileuszu Sienkiewicza.

Rzym skrył się w ogniu. Płomienia kurzawy
Zaćmiły niebo i ziemię. Zdało się,
Że Bóg, przerażon, jęczący i krwawy,
Runął z błękitu i gorzał na stosie
I że już nigdy z piekielnej zgorzeli
Niemiał wstać, ani miał znaleść mścicieli!

Rzym gorzał — z Rzymem zda się, że świat [cały
Gorzał i w popiół i w dym się obracał;
Cezar rozbijał świątynie w kawały,
Cezar najwyższe kolumny wywracał,
Cezar wywołał ziemi strach i drżenie
I wodę Tybru zamienił w płomienie.

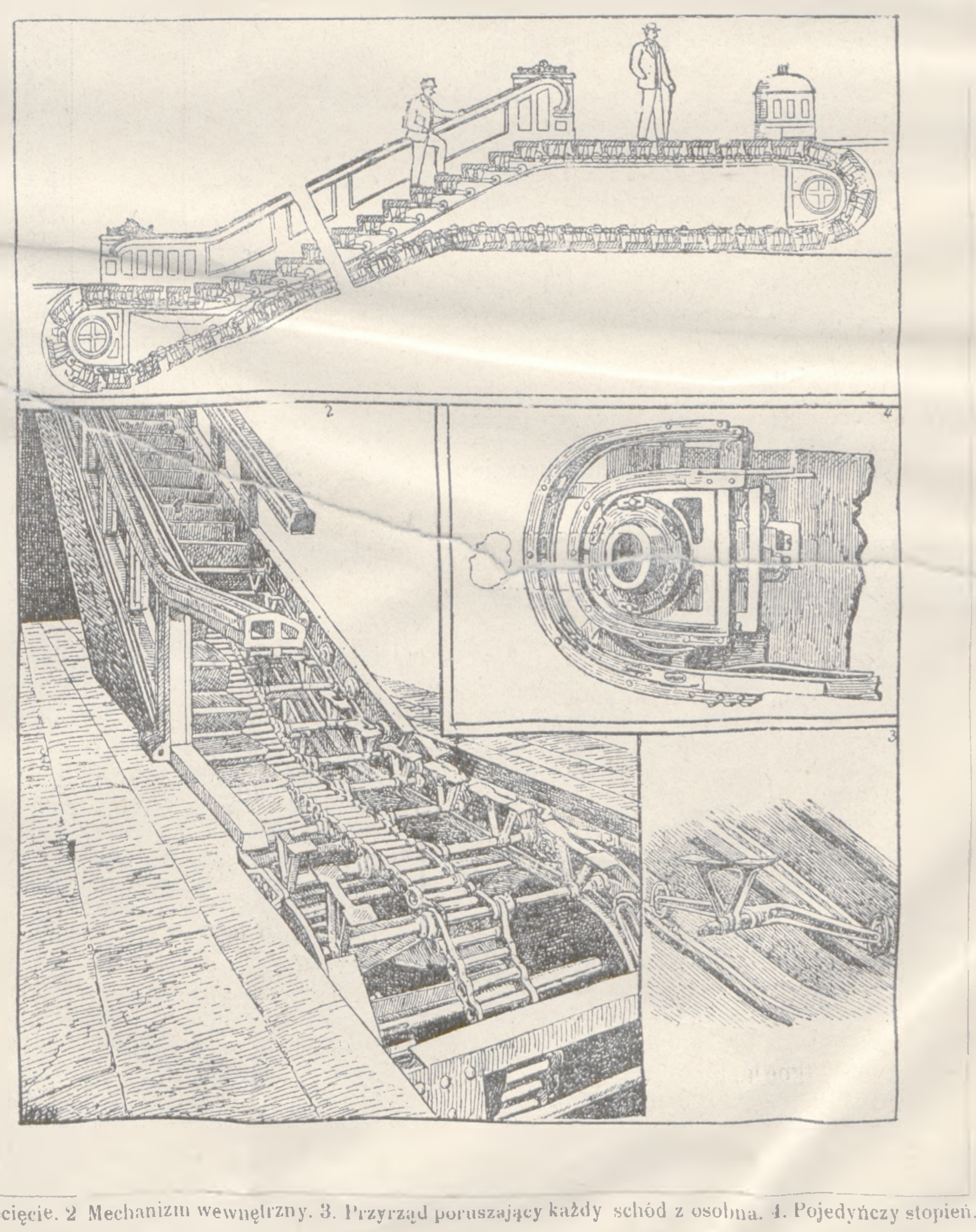
Płonął na stosie Bóg świata, odwieczny
Łabędź-sterownik... Nero w próżnej pysze
Myślał, że obrót powstrzyma słoneczny,
Że fundamentem życia zakołysze —
Ale Bóg świata Rzym ogniem objęty
Przeszedł — i poszedł dalej — niedotknięty.

Próżno, jak burza piorunami wściekła,
Miotałeś ogień na miasto — cezarze!
Miasto w dym poszło, rzeka krwi pociekła,
A tyś nie wiedział, że stawiasz ołtarze
I twym szalonym, strasznym czynem kata,
Ze zgliszcz wyzywasz pochód Boga świata!

Tak zła moc dobrej poniewoli służy,
Tak przez ból siła życia się oczyszcza,
Tak kiedy szatan zapala i burzy,
I w kurz obraca: Bóg wstaje ze zgliszcza
I tam, gdzie otchłań wyrasta pod nogą,
Świat wyrąbaną w skale idzie drogą.

Tyś przy tem dziele zobaczył Nerona,
Mistrzu dziś czczony! Tobie się otwarła

Amerykańskie ruchome schody



1. Przecięcie. 2 Mechanizm wewnętrzny. 3. Przyrząd poruszający każdy schód z osobna. 4. Pojedyńczy stopień.

Zjawa historyi świata niezwalczona:
Że ludzkość wtedy, gdy pozornie marła
Wstawała świeża i młodzieńcza z grobu
Nową epoką wielką iście globu.

Nie rok i nie wiek, ale ludzkość całą
Objąłeś orlem i spokojnem okiem:
Tobie się echo wieków odezwało
I wieki Tobie spłynęły potokiem,
A Ty rzuciłeś w odmęt wieków wędę
Mówiąc: widzenie świata z nich dobędę.

I otoczyły Ci królewską głowę
Olbrzymie widma i wichry gwałtowne,
Tumany krwawe, upiory tęczowe
I przerażenia duchów niewymowne,
A Ty, żywiołów czarownik królewski,
W ręku trzymając tarcz, jako niebieski

Miesiąc na złotąś tarczę widma chwytał
I odstrzelone wyrzucałeś w słońce!
Piorun na tarczy Twej świecił i zgrzytał,
I gwiazdy biły w nią, z chmur spadające
I takim blaskiem owiły Ci czoło,
Żeś jako blasku posąg błysnął w koło!

Kazimierz Tetmajer.

Ptak przelotny
obrazek ludowy.

napisał
Konstanty Krumłowski.

(Ciąg dalszy).

XI.

Pan Rogowski siedział w gabinecie swoim za biurkiem w szlafroku i paciorkowej czapeczce okrywającej mu łysinę. Na końcu nosa osadził binokle, i z ołówkiem w ręku wertował w wielkiej rachunkowej książce.

Widocznie rezultat nie był bardzo pocieszający, gdyż pan dziedzic poprawiał co chwilę nerwowym ruchem, to paciorkową czapeczkę spadającą mu ustawicznie na ucho, to nieposłuszne szkła nie mogące w żaden sposób znaleźć równowagi na potężnym nosie ich właściciela. Ponadto poszczególne pozycye rachunkowe nie zgadzały się z ogólnym bilansem. Pan Rogowski zaczynał pracę po raz dziesiąty, zapisał już mnóstwo papierków i świstków cyframi — porównywał, badał, szukał mylki — daremnie! Po każdej nieudałej próbie zaklął tylko pod nosem i zwiększoną zajadłością porywał ołówek do ręki i kreślił cyfry.

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi i równocześnie ukazała się w pokoju sztywna postać lokaja z rudemi bakenbardami, za którym nieśmiało wsunęła się Marcysia.

Pan Rogowski słyszał puknięcie i czuł obecność jakichś osób, ale nie patrząc na przybyłych, skrzywił się tylko niecierpliwie — i rachował dalej.

Kajetan zrozumiał sytuacyę, odwrócił się do dziewczyny i nakazując milczenie położył palec na usta, sam zaś zatrzymując dech w sobie wpatrywał się w Jaśnie pana i mrugał ustawicznie oczyma.

Naprężona ta sytuacya trwała chwilę.

Wreście dziedzic Rogowski dmuchnął, zaklął, rzucił ołówek z pasyą na biurko, tak samo binokle z nosa i spojrzał mrużąc oczy ku drzwiom.

— A co tam? — zawołał niecierpliwie.

Pan Kajetan zgięty, z całą uniżonością — nie pozbawioną jednak swego rodzaju godności — zbliżył się na palcach do biurka, stanął za fotelem i przegiąwszy się połową ciała, jął do ucha dziedzica poważnie — poufałym tonem mówić coś półgłosem, tak, iż Marcysia słyszeć nie mogła.

Pan podniósł głowę od książki i uderzając po niej niecierpliwie palcami przerywał jego wywody z pewną irytacyą w głosie:

— No i co?... no i co?...

Marcysia nie zwracała uwagi na ich rozmowę, zajęta wyłącznie jedną myślą: żeby się jak najlepiej panu przedstawić, gdy wreście raczy spojrzeć w jej stronę.

Umyślnie pozwoliła chustce opaść trochę z ramion, by uwidocznić wyszywany suto gorset i hafty przy szyi i ramionach białej koszuli. Jedną nogę wysunęła zalotnie naprzód — pokazując krakowski bucik o wysokiem podbiciu i kawałek marszczonej cholewki gnącej w fałdach wzorzystej spódnicy, narzuconej białym fartuszkiem.

Istotnie!... Marcysia nie miała wcale powodu do wielkich nadziei na przyszłość.

Na samym wstępie spotkało ją nie koniecznie gościnne przyjęcie pani Anieli — teraz podobne, a wskutkach swych pewnie doniośléjsze powitanie dziedzica.

Marcysia, świadoma swej urody, odczuła zawód boleśnie. Pan ani spojrzał na nią, ani nie raczył zauważyć jej pięknego gorsetu i haftów u koszuli, i wzorzystej chustki na ramionach, nawet nie spostrzegł na wysokich obcasach skrzypiących butów. A przecież z pod tej chustki padały strzeliste płomienne spojrzenia i wyszywany gorset więził zgrabną i ponętną kibić, a dopasowany dobrze bucik mówił o zgrabnych kształtach nogi. Pod tą piękną nową przyodziewą kryło się niemniej piękne i młode ciało dziewczyny, tak dotkliwie ignorowanej dzisiaj przez tego samego dziedzica, który w karczmie przed kilku jeszcze dniami patrzał na nią z uśmiechem i ręką twarz jej gładził!

Ale Jaśnie pan nie patrzał na nią, natomiast rzucił się gwałtownie plecami w głąb fotelu i spojrzał gniewnie na służącego.

— I to z tem Kajetan mnie tu nachodzi? — zawołał z pasyą — od godzenie służby jest pani Aniela... Rozumie Kajetan?

— Rozumiem Jaśnie panie! — z uległym ukłonem zapewnił niedoszły protektor, a potem z właściwą mu godnością ruchów przeszedł do drzwi, skinął w milczeniu na dziewczynę i wyszedł z nią.

Marcysia szła naprzód po schodach, za nią postępował Kajetan targając swe bakenbardy z pewnem zniecierpliwieniem i zaambarasowaniem.

— Coś mi się nie wiedzie! — pomyślała dziewczyna schodząc ostrożnie po froterowanych schodach i wystukując obcasami przy każdem stąpnięciu, aż rozdrażniony pan Kajetan zwrócił jej uwagę, by ciszej szła.

— Coś mi się nie wiedzie! — powtórzyła w duchu trzymając się silnie obu rękami poręczy.

Poczuła żal i urazę — nie tyle do pana — ile do swego przewodnika i protektora.

Więc, gdy byli już przed dworem zwróciła z złośliwo-pytającem spojrzeniem stalowe oczy na lokaja.

— Nie rób sobie nic panna z tego! pocieszał ją Kajetan szarpiąc ręką rude faworyty.

— Co mi tam! — z udanem lekceważeniem odparła Marcysia, chociaż na myśl, że od samych wrót dworskiego raju może na zawsze być odsuniętą — łzy jej się cisły do oczu i za gardło coś ściskało.

— Pojdę *se* do wsi — dorzuciła, z ruchem, jakby naprawdę zamierzała podwórze opuścić.

Pan Kajetan żywo zastąpił jej drogę.

— Panna mi tego nie rób! Bo byś *se* całe szczęście *do góry nogami* popsuła. Pan się wysapie i będzie *przeważnie* dobrze.

Tego Marcysi trzeba było.

— A *kaz* mom iść?! — zapytała żywo.

Pan Kajetan przystanął, zmarszczył czoło, pomyślał chwilę i rzekł z determinacyą:

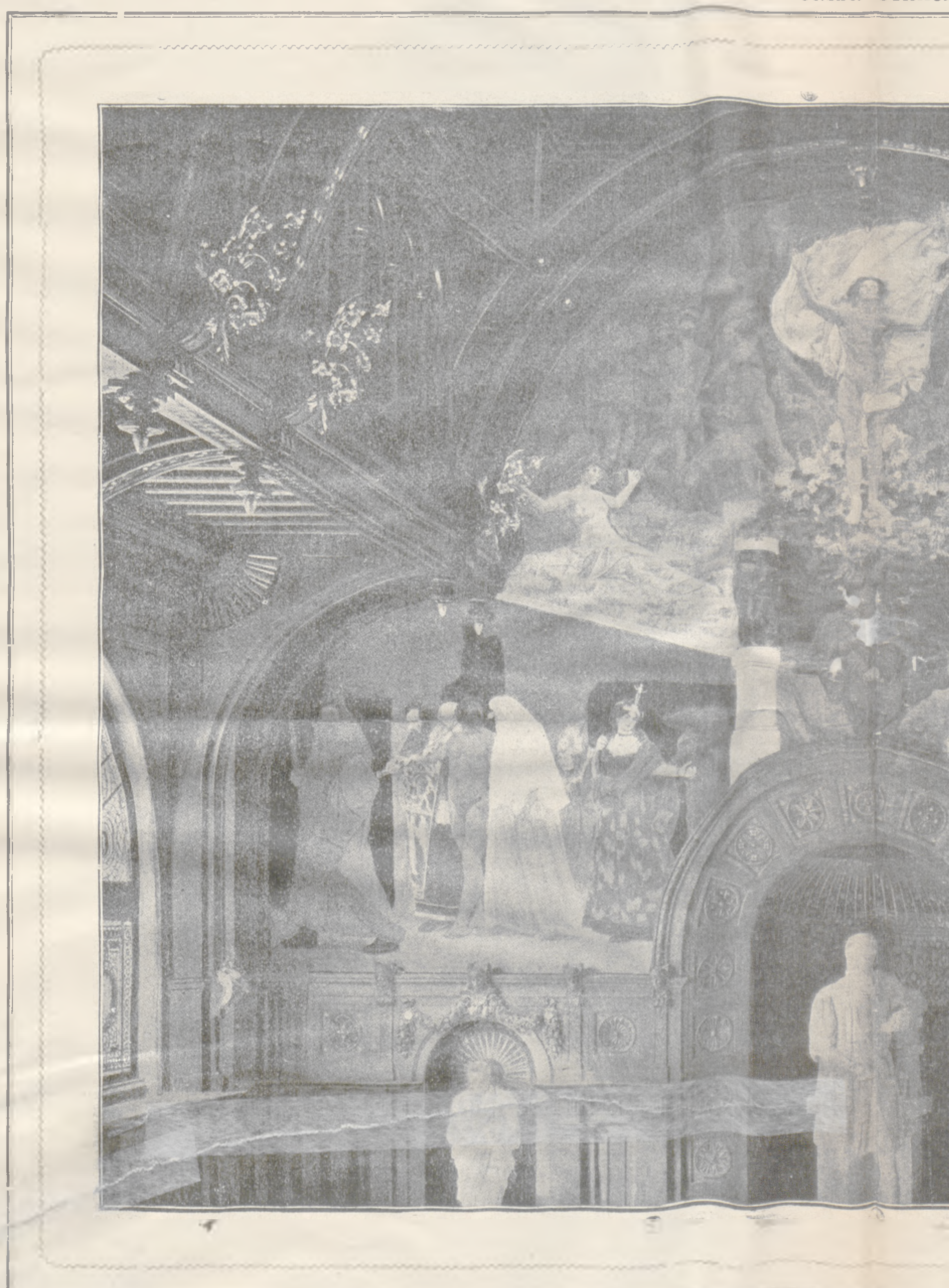
— Chodź panna za mną!

Ta stanowczość lepszą otuchą natchnęła serce niefortunnej kandydatki i ruszyła żywo za kroczącym naprzód poważnie Kajetanem

Pan Kajetan chcąc ratować swój honor zaufanego i wpływowego sługi i powagę swą wobec Marcysi — widział, że teraz za każdą już cenę, per fas et nefas dziewczynę we dworze umieścić musi. Przedstawić ją atoli jako kompetentkę do służby i swą protegowaną — równałoby się narażać Marcysię na przepędzenie z dworskich terytoryów, a siebie na zupełne upokorzenie w oczach dziewczyny — i co najgorsze, dać zupełny tryumf znienawidzonej klucznicy.

(C. d. n.)

Sasza Schnei



TRYUMF BALDERA, boga
malowidło ścienne w sali Gutenberga, w

Ś. p. Bronisław Grabowski.

W samą Wigilię Bożego Narodzenia zaskoczyła nas wieść o śmierci ś. p. Grabowskiego, wieść zgoła niespodziewana, a tem smutniejsza, iż zwiastuje całej Słowiańszczyźnie ubytek człowieka, który całe swoje życie poświęcił idei zbratania i wzajemnego poznajomienia szczepów, należących do wielkiej rodziny słowiańskiej.

Ś. p. Grabowski, urodzony w r. 1841 w Kaliszu, po ukończeniu szkół gimnazyalnych w Piotrkowie, wcześnie wstąpił na wydział filologiczny w Petersburgu, zkąd wyszedł do warsz. Szkoły Głównej, gdzie pod wpływem prof. Kvieta postanowił głównie poświęcić się studyom nad językami i rzeczami słowiańskiemi. Temu umiłowaniu pozostał wiernym do końca życia, raz wraz zasilając pisma naukowe cennemi pracami, jak „Bośnia i Hercogowina“, „Bułgarya i Bułgarowie“, „Słoweńcy, Kraj i dzieje“, „Czarnogóra i Czarnogórscy“, „Zwyczaje doroczne ze stanowiska mitologii słowiańskiej“, studyum o Jarosławie Vrchlickim, życiorysy Palackiego, Svietli, Sztulca, „Pielgrzymka do złotego domu“ i w. i. W dziele zbiorowem „Dzieje literatury powszechnej“ ś. p. Grabowski opracował piśmiennictwo Czechów, Chorwatów i Rosyan. Czas swój dzielił nieodżałowanej pamięci zmarły, między prace literackie jak: dramaty historyczne „Mściwój i Swanhilda“, „Syn Markgrafa“, „Królewicz Marko“, „Boruta“. „Jadwiga Tarłówna“, komedye: „Na wodach“, „Sprzymierzeńcy“ i t. p., wreszcie różne nowelle, obrazki i pozye, z których niedawno obszerną zdawaliśmy relacyę, — a podróże po krajach słowiańskich, gdzie osobę jego otaczano powszechną czcią i należnem jego zasługom poważaniem. Zwłaszcza Czesi przodowali zawsze w objawach hołdu dla sędziwego pracownika i odczuli głęboko jego ubytek z szeregu bojowników słowiańskiej idei.

Cześć pamięci zacnego człowieka, niestrudzonego pisarza i prawego syna Ojczyzny!

Nowy Rok 1901.

Cicho jak śmierć, szlakami łez.
Przez wieków mrok idzie jak sen —
Ten nowy rok.

Mniemamy znów, że nadszedł kres
Złudzeń i mar. że olbrzym ten
Przyniesie czar

Swobodnych dni, wolności świt.
Więc serca drżą i pała wzrok
Przed chwilą tą,

W której już raz skończy się zgrzyt
I pryśnie żal jak nocy mrok,
Jak rdzawa stal.

Wszak to nie rok, lecz cały wiek
Kładzie się w grób, w bezświetlną toń,
Jak ludzki trup.

Wściekłości szał, upodleń stek,
Bezedno zdrad, krwi ludzkiej woń:
To jego ślad!

Nahajek świst i kajdan brzęk,
Sieroce łzy i matek płacz:
To nasze sny!

Nasz marzeń kwiat: O jutro lęk,
A modłów treść: Śmierć zesłać racz,
Lub przywróć cześć!

Męczeństwa znak: Szubienic rój;
Pożarnych łun na niebie szlak,
Zmarli bez trun...

To wieku treść!... Próżny był znój,
Nie stargał pęt nasz orli ptak,
A duch nasz zwiędł.

. . . .

Wynurz się z zórz, z tęczami spłyń,
Rozświetlij noc i zgodę daj
I ducha moc.

W głębiny serc rzuć jasny dzień,
Braterstwo wznieć, wolności raj
W sny nasze wpleć!

Za ojców śmierć, za matek łzy,
Za smutny siew, tułaczy chleb,
Za naszą krew. —

Zapomnij win Mocarzu Ty,
Ulituj się w błękitach nieb. —
Błagamy Cię!!...

Michał Magiera.

Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniego R. Czechowa.

(Ciąg dalszy).

Żeby zagłuszyć w sobie złe myśli, pocieszał się tem, że i Hobotow i Michał Awierjanycz wcześniej czy później przepadną, nie zostawiwszy w przyrodzie żadnego wspomnienia, bo jeżeli za milion lat dookoła ziemskiego globu w jakiejkolwiek odległości przeleci ich duch, to nie zobaczy nic innego nad glinę i puste skały. Wszystko, kultura i natura, wszystko padnie i nawet łopuchem nie porośnie. Cóż w obec tego znaczy wstyd przed sklepikarzem, głupi Hobotow i ciężka przyjaźń Michała Awierjanycza? Wszystko to głupstwo i znikomość.

Ale te tłomaczenia już mu nie wystarczały. Jak tylko przedstawił sobie glob ziemski za tysiąc lat, już z za jakiejś pustej skały, ukazywał się Hobotow w wysokich butach, albo ciągle śmiejący się pocztmistrz, a nawet zdawało mu się, że słyszy szept: „w tych dniach zwrócę ci warszawski dług“.

XVI.

Jednego dnia, kiedy swoim zwyczajem stary doktór leżał na kanapie, przyszedł do niego pocztmistrz. Jakoś tak się złożyło, że w tej samej porze przyszedł i Hobotow z baronem. Andrzej Efimycz ciężko podniósł się i siadł na kanapie.

— Dziś przyjacielu — zaczął pocztmistrz — cera twoja znacznie lepsza jak zwykle. Ho, ho, zuch! Na prawdę zuch!

— Pora już wrócić do zdrowia, kolego — rzekł Hobotow ziewając. Sądzę, że i wam już znudziła się ta kwarantanna.

— O, będzie dobrze — zawołał wesoło Michał Awierjanycz. Jeszcze sto lat żyć będziemy. Tak, o tak!

— Sto nie sto, ale dwadzieścia to z pewnością — pocieszał Hobotow. No, ale to nie kolego, nie bój się, będzie dobrze.

— My jeszcze pokażemy co umiemy — mówił pocztmistrz uderzając z lekka doktora po ramieniu. My pokażemy! Na przyszły rok, jak Bóg pozwoli, pojedziemy na Kaukaz i cały konno przejedziemy hop la! hop la! Z Kaukazu wróciwszy, może jeszcze na czyjem weselisku tańczyć będziemy. Ożenimy cię, przyjacielu kochany, ożenimy.

Andrzej Efimycz uczuł nagle, że duszność zaciska mu krtań i serce bije silnie.

— To idyotyzm — przerwał, wstając z kanapy i podchodząc do okna. Czyż nie rozumiecie, że mówicie same głupstwa?

Chciał to powiedzieć grzecznie, ale wbrew woli głos jego dyszał, zacisnął ręce i podniósł je nad głową.

— Zostawcie mnie! — krzyknął drżąc całym ciałem — precz! obydwaj precz!

Michał Awierjanycz i Hobotow pozostali patrząc na niego ze zdziwieniem, a później ze strachem.

— Obaj precz! — wołał dalej stary doktór. Głupcy! tępi ludzie! Nie potrzebuję przyjaźni ani lekarstw. Idyotyzm! Głupota!

Tamci chwilę popatrzyli na niego, wreszcie wyszli do sieni. Pozostawszy sam złapał szklankę z bromem i rzucił za nimi, szklanka z dźwiękiem padła na próg rozbita.

— Idźcie do dyabła! precz do dyabła!

za Schneider.



BALDERA, boga wiosny,
Gutenberga. w lipskim domu księgarzy.

Po wyrzuceniu gości, drżąc jak w febrze, położył się na kanapie i długo bezwiednie powtarzał: „głupi, głupi ludzie“!

Kiedy wrócił do równowagi przyszło mu na myśl, że temu biednemu Michałowi Awierjanyczowi musi być bardzo przykro i ciężko, że się tak stało; przedtem nigdy tego nie było. Gdzie takt? gdzie rozum? Gdzież to zrozumienie rzeczy i filozofia?

Doktór całą noc nie mógł zasnąć ze wstydu i złości na siebie, a rano o dziesiątej poszedł na pocztę przeprosić Michała Awierjanycza.

— Nie mówmy o tem co było — rzekł pocztmistrz, ściskając mu mocno rękę. Kto nie zapomina uraz, na tego kamieniem. Kochany! — krzyknął nagle tak, że wszyscy pocztylioni i goście drgnęli — podać krzesło, a ty poczekaj — rzekł do kobiety, która przez kratki podawała list rekomendowany. Czyż nie widzisz, że jestem zajęty? No, no nie wspominajmy o tem co było — ciągnął dalej zwracając się do doktora. Siadaj, mój drogi, proszę cię.

Chwilę milczał, wreszcie trąc kolana rzekł:

— Ani mi przez myśl nie przeszło obrazić się na ciebie. Choroba nie siostra, ja rozumiem. Twój wczorajszy wypadek przeraził mnie i doktora, a później długo mówiliśmy o tobie przyjacielu. dlaczego nie chcesz poważnie zająć się swoją chorobą? czyż tak się godzi? przebacz szczerą otwartość, ale jesteś dziwnie rozdrażniony, może to się nawet i wyleczyć nie da?.. przyjacielu, błagamy cię razem z doktorem całem sercem, posłuchaj mojej rady, idź do szpitala. Tam i życie zdrowsze, wygody i lekarstwa. Eugeniusz Teodorowicz chociaż źle wychowany, między nami mówiąc, ale mu można zaufać. Dał mi słowo, że zajmie się tobą.

Andrzej Efimycz był wzruszony widząc łzy w oczach przyjaciela.

— Słuchaj, nie wierz — przekonywał go doktór, kładąc rękę na piersiach — nie wierz. To oszukaństwo. Choroba moja leży w tem, że przez Dwadzieścia lat służby nie znalazłem w całym mieście człowieka inteligentnego, a gdy natrafiłem na niego, to ten jest obłąkany. Choroby nie mam żadnej, a tylko wpadłem w jakieś zaczarowane koło, z którego brak mi wyjścia. Mnie zresztą wszystko jedno i na wszystko jestem gotów.

— Idź do szpitala, przyjacielu.

— Wszystko mi jedno, choćby i w grób.

— Daj mi słowo, że będziesz słuchać we wszystkiem Eugeniusza Teodorowicza.

— Jeżeli chcesz, daję słowo, ale powtarzam, że jestem tylko w zaczarowanem kole. Teraz wszystko, nawet życzliwość moich przyjaciół skłania się do jednego — do mojej zguby. Ja ginę i mam świadomość rozumieć to.

— Przyjacielu wyzdrowiejesz.

— Po co to mówić? Nie każdy człowiek przy końcu życia spotyka to, co ja teraz. Jeżeli wam powiedzą, że masz dajmy na to coś w rodzaju wrzodów lub palpitacyi serca i zaczniesz się leczyć; albo, jeżeli powiedzą, żeś obłąkany lub przestępca, jednem słowem, kiedy ludzie zwrócą na ciebie uwagę, to znaczy, że wpadłeś w zaczarowane koło, z którego niema wyjścia. Będziesz chciał się wydobyć, a jeszcze więcej zbłądzisz. Wiedz wtedy, że żadne ludzkie siły już cię ztamtąd nie wydobędą. Tak mi się zdaje.

W trakcie tego przy kratkach pchała się niecierpliwa publiczność. Andrzej Efimycz, żeby nie przeszkadzać wstał i zaczął się żegnać. Michał Awierjanycz jeszcze raz wymógł na nim słowo i pożegnawszy do drzwi odprowadził.

Tego samego dnia przed wieczorem u Andrzeja Efimycza nieoczekiwanie zjawił się Hobotow w kożuszku i wysokich butach i zaczął mówić takim tonem, jakby wczoraj między nimi nic nie było.

— A ja do pana w interesie, kolego, przyszedłem prosić pana na konsylium, co?

Sądząc, że Hobotow chce go wyciągnąć na przechadzkę lub dać mu możność zapracować, stary doktor ubrał się i wyszedł. Rad był wczorajszą awanturę zatrzeć i w duszy wdzięcznym był Hobotowowi, który nic nie wspominał o niej: od tego człowieka bez kultury trudno było się tego spodziewać.

— A gdzie nasz chory? — zapytał?

— U mnie w szpitalu. Ja już dawno chciałem wam go pokazać. Interesujący objaw.

(C. d. n.)

Tłom. Bron. Jeremi.

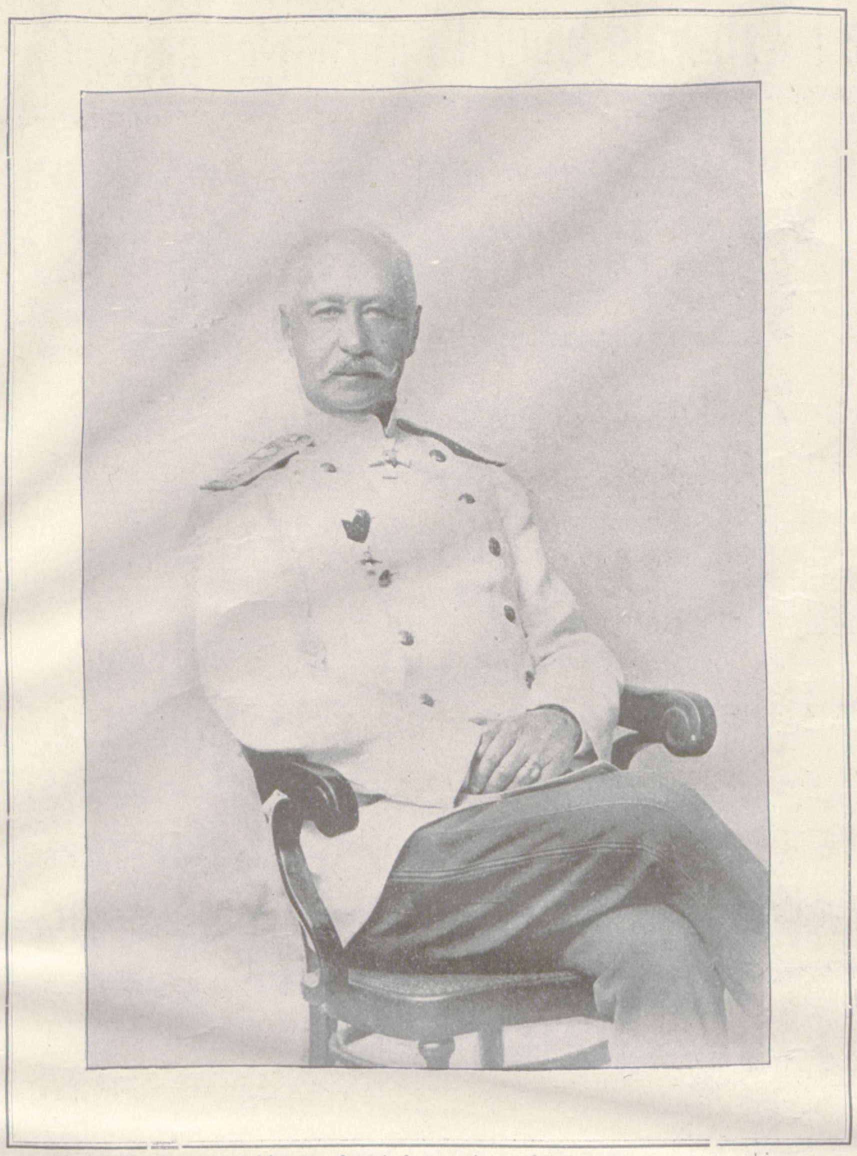
Z wojny chińskiej.



Pochód mandarynów przez dzielnicę angielską w Szanghaju, pod osłoną policyi

Nasze ryciny.

Nagła śmierć ks. Imeretyńskiego w dniu 30 listopada r. z. wywołała sensacyę nie tylko w Królestwie, lecz także we wszystkich dzielnicach dawnej Polski. Wszystkie dzienniki pomieściły obszerne wzmianki o życiu i działalności zmarłego generał-gubernatora Warszawy, oświetlając jego postać stosownie do wyznawanych zasad i polityki. Jakimkolwiek by się jednak służyło zasadom, trudno nie mieć przekonania, iż zmarły książę był rusyfikatorem i ciemięzcą w najszerszem słowa tego znaczeniu i różnił się od swych poprzedników tylko sposobem działania. Zawsze wesoła Warszawa, mająca dowcip polityczny na każde zawołanie, scharakteryzowała rodzaj postępowania Imeretyńskiego zapomocą następującej anegdotki: „Pewnego razu prowadzili żandarmi gromadę studentów do cytadeli wśród niesłychanego deszczu i błota. Naraz, z bocznej ulicy, wyjeżdża Hurko: „Co to? Kogo prowadzicie?“ „To studenci, Wasze Wysokoprewoschoditielstwo, idą do cytadeli“ brzmiała odpowiedź żandarmskiego oficera — „Co? Studenty? A wy miatieżniki, sukinsyny, wory, buntowszczyki! Konspirować wam się zachciało? Co to? Wy bez kajdanów?! Natychmiast włożyć im kajdany, niech popamiętają dobrze Hurkę!“ I za chwilę pochód dzwoniąc łańcuchami ruszył w dalszą drogę, lecz nie minęło nawet pięciu minut, gdy na skręcie, koło Zamku ukazał się Szuwałów (następca Hurki na jenerałgubernatorstwie warszawskiem). „Kogóż to prowadzą?“ „Studentów, do cytadeli“ odpowiedział ponownie oficer. „Aha... A czemuż włożyliście im kajdany? Zdjąć to zaraz! Tacy młodzi chłopcy i obciążać ich kajdanami!“ Rozkazowi stało się zadość, poczem uwolnieni od łańcuchów studenci poszli dalej. Po chwili konwój napotyka się na — Imeretyńskiego, który wracał z przedstawienia w założonym przez rząd teatrze ludowym. „Stój! Gdzie oficer?“ — „Słuszajus, Wasza Świetłost!“ — „Cóż to znów za barbarzyństwo“, obruszył się Imeretyński. „Prowadzicie studentów po takiem błocie, w taki deszcz i pieszo?! Natychmiast zawołać dorożek i umieścić panów wygodnie. Biedni chłopcy, jakie to zmęczone, zmizerowane! No! Słyszycie?“ —



Ks. Imeretyński, zmarły niedawno jenerał-gubernator warszawski.

W jednej chwili znalazły się dorożki i studenci wsadzeni przez żandarmów podążyli „na gumach“ do cytadeli... Morał stąd jasny: wszelkie t. zw. zmiany systemu rządowego w Rosyi są tylko pozorne, a dzieło rusyfikacyi idzie ustawnie naprzód bez względu na to czy jest prowadzone przez brutala Hurkę, pijanicę Szuwałowa, czy też przez wytwornisia Imeretyńskiego. Co więcej, naród polski mniej winien się obawiać azyatyckich satrapów, trzymających społeczeństwo pod grozą obucha, niż eleganckich, pseudo-dobrodusznych i „sprzyjających Polakom“ obrusitieli w guście zmarłego Księcia. Pierwsi, postępowaniem swojem podsycają w ludzie nienawiść do rządu, drudzy pozorami ludzkości usypiają ducha narodu, by tem pewniej sączyć weń jad rusyfikatorski. „Kuratorja trzeźwości“, teatr ludowy, wstrętna „Oświata“, (polskie pismo dla ludu, wydawane przez rząd rosyjski!) i „zabawy ludowe“, dzieła księcia Imeretyńskiego, więcej wyrządziły szkody naszemu społeczeństwu od wszystkich brutalności i łajdactw Hurki razem wziętych. Branie górnych warstw społeczeństwa na przynętę ugody, w połączeniu z delikatnem ruszczeniem włościan i klas niższych, było celem, do którego sprytnie i wytrwale dążył zmarły wielkorządca, a częściowe powodzenie tej jego polityki jest dowodem, iż wiedział dobrze, jak wziąść się do rzeczy. Naród polski stracił w nim chytrego i bardzo niebezpiecznego prześladowcę. Niewiadomo, co obecnie nastąpi, kto z ramienia cara obejmie naczelny dozór nad ohydnem gnębieniem Polaków w Królestwie? Być może, iż nieszczęśliwy kraj znów będzie jęczał pod brutalnym knutem jakiegoś nowego Hurki; trudno jednak pomyśleć, aby w carskiej sforze znalazł się zmyślniejszy i złośliwszy ogar nad Imeretyńskiego.

Już to trzeba przyznać, że Europejczycy bardzo ciekawie pojmują swą misyę cywilizacyjną odnośnie do „Niebieskiego Państwa“ i jego synów. W chlubnej troskliwości o prostotę obyczajów, zabierają Chińczykom wszelkie kosztowności, złoto i drogie kamienie, dla wewnętrznego uspokojenia Chin wymierzają surową sprawiedliwość kobietom, starcom i dzieciom, a wreszcie, wychodząc z zasady, iż zajmowanie się niepotrzebnymi rzeczami, jak np. nauką, odrywa umysły synów „Państwa Środka“ od uczciwej pracy, postanowili im zabrać narzędzia astronomiczne, umieszczon w Pekinie przez francuskich Jezuitów jeszcze w 17 wieku. Pierwsze hasło do rabunku wyszło naturalnie od Moskali, za którymi poszli Japończycy, reszta zaś cywilizatorów, widząc, że tamci biorą się nie na żarty do dzieła, również poszła za ich przykładem. Narzędzia astronomiczne obudziły nie mały apetyt w Niemcach, którzy są jak wiadomo wielce uczonym narodem. Francuzom również spodobały się globusy i teleskopy, a w ślad za tem obie zwaśnione nacye podały sobie dłonie, uchwalając przeniesienie narzędzi i aparatów w połowie do Paryża, w połowie zaś do Berlina. Tymczasem, w obronie chińskiej astronomii stanął generał amerykański Chaffee i napisał do hr. Waldersee bardzo ostry list, piętnując w nim „cywilizatorskie“ zachowanie się Niemców. Od tego czasu wszelkie dalsze wieści w tej sprawie przycichły zupełnie, należy wszakże mieć nadzieję, iż wkrótce cesarz Wilhelm powita w Berlinie umundurowanych wysłańców kultury niemieckiej, przywożących do ojczyzny kosztowne aparaty, wydarte z rąk „barbarzyńców“. Scena wyobrażona na dzisiejszej rycinie zdaje się w zupełności potwierdzać powyższe przypuszczenie.

Rozumie się samo przez się, iż ruchome schody widniejące na jednej z rycin dzisiejszego numeru są dziełem amerykańskiej pomysłowości. „Lift“ czyli winda osobowa, jest dzisiaj w oczach prawego, z postępem czasu idącego Yankeesa czemś przestarzałem, godnem jedynie „zacofanej“ Europy; Paryż zaopatrzył swoją z szłoroczną wystawę w ruchomy chodnik, New-York odpowiedział ruchomymi schodami. Piękne za nadobne! Przy posługiwaniu się tym nowym środkiem elewacyjnym wystarczy stanąć na schodach i położyć dłoń na poręczy, aby, wznosząc się ku górze, zajechać choćby na czwarte piętro bez żadnego zmęczenia. Mechanizm polega na t. zw. łańcuchu bez końca, poruszającym schody. Za motor służy naturalnie elektryczność. Na każdem piętrze trzeba przejść z wyższej partyi na niższą, idąca po osobnym łańcuchu. Ruchome schody są zapewne niezmierną wygodą dla listonoszy, roznosicieli gazet i — żebraków, którzy oszczędzając na czasie błogosławią z pewnością pomysłowego wynalazcę za zwiększenie ich dochodów!

Chińskim mandarynom, udającym się gdzieś w urzędowej sprawie, towarzyszą policyanci, zbrojni w potężne bykowce. Zadanie ich polega na torowaniu drogi swym zwierzchnikom i rozdawaniu ciegów na prawo i lewo pod adresem tych wszystkich, którzy zbyt powolnem usuwaniem się na bok obrażą majestat ich mandaryńskich mości. Jak widać z ryciny, zewnętrzny wygląd tych organów władzy niebardzo kwadruje z naszymi pojęciami o przyzwoitości, niemniej przeto potężne ich barki i kwadratowa budowa ciała wzbudzają pewien szacunek... Z boku kroczy angielski *policemen* przydany im do towarzystwa, gdyż w dzielnicy angielskiej w Szangaju, którą przechodzą właśnie mandaryni ze swymi aniołami-stróżami, ustaje władza chińskiej policyi. Wysmukły, elegancko ubrany a co najważniejsza, bezbronny anglik odbija jaskrawo od swoich chińskich kolegów o ociężałym chodzie i srogich a bezmyślnych twarzach.

Jednym z niewielu szczęśliwców którzy już po krótkiej pracy na polu sztuki dobili się wielkiego rozgłosu, jest Sascha Schneider, młody malarz niemiecki, w którego żyłach płynie po części krew rosyjska. Niezwykła fantazya i głębia myśli w połączeniu z mistrzowstwem techniki zapewniły jego bądź co bądź niezwykłym utworom, rozchodzącym się w tysiącach reprodukcyi, niemałą a całkiem uzasadnioną sławę. Obie te właściwości talentu Schneidra uwydatniają się doskonale na podanych dziś przez nas malowidłach ściennych i sufitowych w lipskiej „sali Guttenberga“. Artysta, biorąc temat ze strony symbolicznej, zaczerpnął pełną dłonią ze skarbów niemieckiej „sagi“ i przeprowadził paralelę między pojawieniem się Baldera, starogermańskiego boga wiosny, a wynalazkiem sztuki drukarskiej, który może być uważany za odmłodzenie się i wiosnę duchową ludzkości. „Sala Guttenberga“ w której znachodzą się te obrazy, stanowi jedną z ubikacyj w „Deutsches Buchgewerbehaus“ (dom niemieckiego przemysłu księgarskiego) w Lipsku.

KRONIKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

LITERATURA.

* Do redakcyi naszej przysłano z Warszawy prospekt nowego pisma, którego numer pierwszy w tych dniach wyjdzie z pod prasy. Będzie to miesięcznik p. n. „Chimera“, poświęcony wyłącznie literaturze i sztuce. „Dla „Chimery“ — pisze w odezwie redaktor, znany poeta i literat, p. Zenon Przesmycki (Miriam), — nie istnieją żadne szkoły, grupy czy kierunki, żadne „firmy“ uznane, żadne bractwa „nieuznanych“, żadne modernizmy, ani akademizmy, żadne wreszcie, mające swój ton, lecz płytkie indywidualizmy. Widzi ona przed sobą i bierze za miarę wszystkiego wyłącznie prawą, wielką sztukę“. Nowe to pismo, ma podobno zapewnione współpracownictwo najwybitniejszych sił pisarskich.

* Ojciec święty napisał odę po łacinie na cześć nowego wieku. Nad dziełem tem pracował Ojciec święty przeszło dwa miesiące. Oda będzie w tych dniach ogłoszona drukiem.

TEATR i MUZYKA.

* Konkurs międzynarodowy na pomnik Ryszarda Wagnera ogłoszony będzie dnia 2 stycznia w Berlinie. Na sędziego konkursowego powołano między innymi, znanego rzeźbiarza Zumbusch'a z Wiednia.

* Schlaraffenland“ baśń dramatyczna Ludwika Fuldy, została przedstawioną w Hamburgu z dość znacznem powodzeniem. Fulda jest autorem znanego i w Krakowie „Talizmanu“.

* Theatro alla Scala w Medyolanie wystawi w bieżącym sezonie „Tristana i Izoldę“ Wagnera. W tym celu zaangażowano najlepsze siły wokalne Włoch. Batutę będzie dzierżył maestro Toscanini, zapalony wagnerzysta.

* Znakomity kompozytor Zygmunt Noskowski obchodził w tych dniach trzydziestopięciolecie swej działalności twórczej. Skromna „Kolęda“ na śpiew solowy, z tekstem Rzętkowskiego, która ukazała się jako dodatek nutowy przy numerze gwiazdkowym „Tygodnika Ilustrowanego“ 1865 r., stanowiła pierwszy krok młodziutkiego, podówczas początkującego muzyka.

Po ukończeniu warszawskiego instytutu muzycznego pod kierunkiem twórcy „Halki“, Noskowski, już jako autor kilkunastu prac na fortepian, wiolonczelę, oraz chórów i pieśni solowych do śpiewu, udał się na dalszą naukę do genialnego pedagoga, Fryderyka Kiel'a w Berlinie i tam poświęcił dwa lata pracy nad formami klasycznemi i podwójnym kontrapunktem.

Od chwili tej zaczęły powstawać coraz to poważniejsze i bardziej wartościowe utwory: uwertura koncertowa „Morskie Oko“, dwie symfonie na wielką orkiestrę, kilka kwartetów smyczkowych, cykle krakowiaków, mazurów i kompozycyi salonowo-koncertowych na fortepian, „Fantazya góralska“ i wiele innych kompozycyi na orkiestrę, większych rozmiarów kantaty: „Świtezianka“, „Kto się w opiekę“ i „Janek“, dwa cykle piesni chóralnych, mnóstwo pieśni solowych do śpiewu (wśród których wymienimy jako najpopularniejsze: „Stacha“, „Skowronek“, „Noc“ i „Astry“), wielka uwertura „Step“ i ostatnio wystawiona z powodzeniem na scenie lwowskiej (1898 r.) opera „Livia Quintilla“ zapowiedziana jako nowy nabytek repertuarowy teatru warszawskiego.

O licznych ilustracyach muzycznych do sztuk ludowych, o fredrowskim „Nowym Don Kiszocie“, o olbrzymiej liczbie ułożonych na chór pieśni ludowych oraz moniuszkowskich, trudno zapomnieć. Na wyróżnienie zasługują też prace, podjęte w celach naukowych, jak: „Szkoła na skrzypce“, „Szkoła na fortepian“, „Śpiewnik dla dzieci“, opracowanie melodyi ludowych w zbiorze Z. Glogera i najnowsze opracowanie pieśni ludowych litewskich.

Noskowski znajduje się obecnie w sile wieku męskiego, a natura tego potężnego talentu, który z wiekiem ustawicznie się jeszcze doskonali, jest silną podstawą do twierdzenia, iż muzyka narodowa zostanie przezeń wzbogaconą niejednem jeszcze arcydziełem.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: Kazimierz Ehrenberg.